

Już miesiąc po katastrofie Tusk wiedział, jak Putin go rozegrał i wykorzystał. I zaczął się bać

15 kwietnia 2015

Latem 2010 r. Tusk zdał sobie sprawę, że ze Smoleńskiem wszystko jest nie tak, ale w rozmowach z zaufanymi usprawiedliwiał się: „No i co, mamy im wypowiedzieć wojnę?”.

Ten potwór nas powsadza za kraty i możemy nie być w stanie się przed tym obronić – mówił Donald Tusk w gronie kilku najbliższych współpracowników 3-4 miesiące po katastrofie smoleńskiej. Słowa te przypomniał w minionym tygodniu Robert Krasowski w „Polityce”. Pierwszy raz usłyszałem o tej rozmowie (i kilku następnych, bo temat był kontynuowany) we wrześniu 2010 r. Już wtedy Tusk miał świadomość, że „przegiął”, jeśli chodzi o atakowanie i prowokowanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. I miał świadomość, że Władimir Putin ograł go jak dzieciaka we mgle. Bo w miesiącach poprzedzających katastrofę Tusk faktycznie sprzymierzył się z ówczesnym premierem Rosji, żeby pognać Lecha Kaczyńskiego i nadwerężyć jego wizerunek. Ówczesny premier sądził, że Putin gra w to samo co on i w tej samej lidze, co pokazuje, jak bardzo nie rozumiał rosyjskiej polityki i nie wyciągał żadnych wniosków z przeszłości.

Już 11 kwietnia 2010 r. Donald Tusk musiał wiedzieć, że to nie on wykorzystał Putina, tylko odwrotnie. I w kolejnych miesiącach czuł coraz większy strach przed konsekwencjami i skutkami tego, co zrobił (o czym świadczą rozmowy z zaufanymi), a co w każdym praworządnym państwie byłoby przynajmniej przedmiotem wniosku o Trybunał Stanu. Że te kwestie w najbliższym gronie byłego premiera były poruszane,

mogłem się przekonać prowokując niektórych uczestników wieczornych spotkań przy winie i cygarach. Wtedy jeszcze wykorzystywałem tylko strzępy wiedzy, jaka do mnie docierała. Później tych informacji było coraz więcej. A narastające zdenerwowanie Tuska dawało znać w jego wybuchach i zniknięciach. Ale oczywiście ówczesny premier nie zamierzał się do niczego publicznie przyznać, za nic przeprosić. Wręcz przeciwnie, w następnych miesiącach i latach atakował brata prezydenta, Jarosława Kaczyńskiego, bo to była najlepsza forma odwrócenia uwagi od własnych win.

Tusk liczył na to, że prowokowany Jarosław Kaczyński dostarczy mu argumentów do kolejnych ataków, po których prezesa PiS przedstawi się jako największe zagrożenie dla demokracji w Polsce. I jako żadnego zemsty za Smoleńsk. Nie chłodnej, racjonalnej sprawiedliwości, a irracjonalnej zemsty. Tylko wersja z irracjonalną zemstą Jarosława Kaczyńskiego pozwalała Donaldowi Tuskowi odwracać kota ogonem i neutralizować strach, o którym otwarcie mówił na zamkniętych spotkaniach w zaufanym gronie. A najbardziej ówczesny premier bał się tego, co Rosjanie zrobili z materiałów i nagrań, jakie powstały, gdy upoważnieni przez niego ludzie korespondowali i rozmawiali z reprezentującymi Putina członkami jego administracji, np. ówczesny szef kancelarii Tomasz Arabski.

Mniej więcej miesiąc po katastrofie smoleńskiej Donald Tusk, głównie dzięki informacjom polskich tajnych służb, wiedział, że Putin przyleciał do Smoleńska 10 kwietnia z precyzyjnym planem ogrania go, a nawet wykorzystania i zastraszenia (rzucanymi półgębkiem insynuacjami). Kompletnie nieprzygotowany Tusk 10 kwietnia połknął bez popijania w najdrobniejszych szczegółach wyreżyserowany przez Putina teatr żalu i żałoby. A pod osłoną tego teatru służby Putina bardzo intensywnie pracowały na terenie katastrofy. Życzliwość rosyjskich urzędników i funkcjonariuszy okazała się znakomitą zasłoną dymną, na co nabrali się m.in. Tusk i Kopacz, za którą zabezpieczano wszystko, co mogłoby być dla Putina niewygodne.

A przysłani z Polski fachowcy bezradnie odbijali się od muru, jaki wzniesli Rosjanie, żeby Polacy niczego nie widzieli i w niczym ważnym nie uczestniczyli. I Rosjanie powoływali się przy tym na wspólne ustalenia Putina i Tuska, o których polscy eksperci i funkcjonariusze nic nie wiedzieli. A potem po stronie rządu Tuska była już tylko gra o to, żeby kompromitację związaną z pobytem ówczesnego premiera i jego ludzi w Smoleńsku ukryć albo maksymalnie zmanipulować.

Donald Tusk już latem 2010 r. wiedział, że ze Smoleńskiem właściwie wszystko jest nie tak, ale w rozmowach z najbliższymi współpracownikami pocieszał się i usprawiedliwiał słowami: „No i co, mamy im wypowiedzieć wojnę?”. Miał też oczywiście pełną świadomość swoich win i obawę, że kiedyś może to wyjść na jaw. Dlatego najbliższemu otoczeniu mówił o „potworze” Kaczyńskim, który ich wszystkich „powsadza za kraty”, jeśli przejmie władzę. Ten strach był absolutnie prawdziwy i uzasadniony. Dlatego w wojnę o Smoleńsk rząd Tuska zaangażował wszystkie siły i wciągnął w nią usługowe media, suto za nagradzane. Tusk chciał wytworzyć w Polsce stan permanentnej społecznej neurozy, w której poruszanie takich kwestii jak prawda, honor, powinność, godność czy interes narodowy są przedstawiane jako wariactwo, mania, psychopatia czy chęć wywołania jednocześnie wojny domowej i wojny z Rosją. Tylko w stanie permanentnej neurozy odpowiedzialnym za potworne błędy, zaniechania, a wreszcie za łamanie prawa mogło się upiec. Bo wszelkie racjonalne argumenty były natychmiast podlewane sosem wariactwa, manii i psychopatii. To była i jest do dziś skuteczna strategia i właściwie jedyna gwarantująca unikanie odpowiedzialności.

Rację mają ci, którzy nazywają „ucieczką” wyjazd Tuska do Brukseli i objęcie przez niego stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej. To jest ucieczka, bo Tusk nie radził sobie już ze strachem oraz odpowiedzialnością, a temat smoleński nie dał się zasypać, i ośmieszyć. Czy Tusk także nie radził sobie z poczuciem winy, trudno osądzić, bo jednak potrafi zakładać

maski, a cynizm jest jego ulubioną postawą. To, że dla byłego premiera to jest ucieczka, dodatkowo świadczy jego kompletne milczenie w piątą rocznicę smoleńskiej tragedii. Tusk chce to już mieć za sobą. I wie, że zarówno Bronisław Komorowski, jak i Ewa Kopacz oraz wielu ich urzędników, jak i działaczy PO musi zamiast niego prowadzić tę grę, bo się w nią od początku zaangażowali i są współwinni. I dla Tuska, i dla nich to jest gra o wszystko, i oni doskonale sobie z tego zdają sprawę. Dlatego zrobią dosłownie wszystko, żeby nie stracić władzy. A wybory prezydenckie są pierwszym, niezwykle ważnym etapem tej rozgrywki.

Źródło: Ruch-Obywatelski.com